

SPRAWY *polityczne*



Numer 1(40) wiosna 2010 ISSN 2080-8232 Cena 28 zł (w tym 0% VAT)

40

PARTNERSTWO REALISTYCZNE

O POTRZEBIE
NOWYCH RELACJI POLSKI Z USA
Maciej Brachowicz

OBAMA VERSUS OBAMA

POSTAMERYKAŃSKI PREZYDENT John Bolton

CZYM NAPRAWDĘ JEST NOBEL DLA OBAMY Robert D. Kaplan

PONADTO W NUMERZE

SOWIECKA BRYTANIA Theodore Darlymple

DOKĄD ZMIERZASZ JAPONIO? Janusz Mondry

CZY CHINY SĄ KOMUNISTYCZNE? Bogdan Góralczyk

IRVING KRISTOL

I KRUCHOŚĆ BURŻUAZYJNEGO ŁADU Leszek Nowak

Wydawnictwo Sprawy Polityczne poleca:

ROBERT D. KAPLAN

Śródziemnomorska zima



sp

www.sprawypolityczne.pl

SPRAWY *polityczne*

40

PARTNERSTWO REALISTYCZNE

O POTRZEBIE NOWYCH RELACJI POLSKI Z USA

Maciej Brachowicz

6

OBAMA VERSUS OBAMA

POSTAMERYKAŃSKI PREZYDENT *John Bolton*

18

CZYM NAPRAWDĘ JEST NOBEL OBAMY? *Robert D. Kaplan*

28

POMIĘDZY WSCHODEM A ZACHODEM

Zmiany po europejsku *Dominik Jankowski*

34

Dokąd zmierzasz, Japonio?

Staro-nowe drogi japońskiej geopolityki *Janusz Mondry*

42

Singapurski tygrys z socjalistycznymi ciągotami *Krzysztof Olszewski*

52

Czy Chiny są komunistyczne? *Bogdan Góralczyk*

64

Wydawnictwo Sprawy Polityczne poleca:

ROBERT D. KAPLAN

Polityka wojowników



sp

www.sprawypolityczne.pl

LEKTURY

Irving Kristol i kruchość burżuazyjnego ładu *Leszek Nowak* 80

PRZEGLĄD KSIĄŻEK

Dmowski – patriota czy szowinista *Wojciech Turek* 108

Nadzwyczajny talent do wszczynania wojen *Krzysztof Olszewski* 120

Sonderweg. Spory o „niemiecką drogę odrębną” *Leszek Nowak* 124

Mafia rosyjska. Uproszczenie czy nieporozumienie? *Robert Cheda* 130

Gorący, płaski i zatłoczony *Bogdan Góralczyk* 138

KWARTALNIE

Sowiecka Brytania *Theodore Darlymple* 144

Luke Skywalker polskiej lewicy *Rafał Kasprów* 150

SPRAWY *polityczne*

kwartalnik ukazuje się od 1999 roku

Przewodniczący Rady Programowej

TADEUSZ BODIO

Wydawca

MACIEJ GORZELIŃSKI

RAFAŁ KASPRÓW

Rada Programowa

ANDRZEJ CHODUBSKI

KRZYSZTOF GRYGAJTIS

BRONISŁAW ŁAGOWSKI

KRZYSZTOF MISZCZAK

BRONISŁAW MISZTAŁ

KRZYSZTOF OKSIUTA

KONSTANTY A. WOJTASZCZYK

Redaktor naczelny

TOMASZ PICHÓR

Sekretarz redakcji

ANNA KOC

Zespół

ROBERT CHEDA

DOMINIK JANKOWSKI

MARCIN KACZMARSKI

TADEUSZ A. KISIELEWSKI

GRZEGORZ KRZYWIEC

BEŁAŻEJ MISZTAŁ

JANUSZ MONDRY

LESZEK NOWAK

WOJCIECH SZCZEPAŃSKI

DARIUSZ WALDZIŃSKI

DANIEL S. ZBYTEK

KRZYSZTOF OLSZEWSKI

BEATA WILGA

Projekt graficzny i opieka artystyczna

TOMASZ MISIEK

Skład, mapy, przygotowanie do druku

TOMASZ WALAS – DTPOWIEC.PL

Korekta

EWA GORZANIAK

Adres redakcji

Sprawy Polityczne, ul. Karowa 31 A, 00-324 Warszawa, tel. +48 22 31 23 808, +48 22 38 96 374, fax: +48 31 23 806, e-mail: sprawy@sprawypolityczne.pl. Sprawy Polityczne w Internecie: www.sprawypolityczne.pl

Prenumerata

Prenumeratę można zamawiać za pośrednictwem witryny internetowej: www.sprawypolityczne.pl bądź pod numerem telefonu: (+48) 22 31 23 808. Kosz rocznej prenumeraty w Polsce (kolejne 4 numery) wyniósł 80 złotych. Roczny koszt prenumeraty za granicą wynosi: przesyłka lotnicza 40 USD, przesyłka zwykła 25 USD. Wpłaty dokonywać można na konto: BRE BANK 63 1140 1010 0000 5280 7600 1001. Prenumeratę można rozpocząć od dowolnego numeru.

Reklama

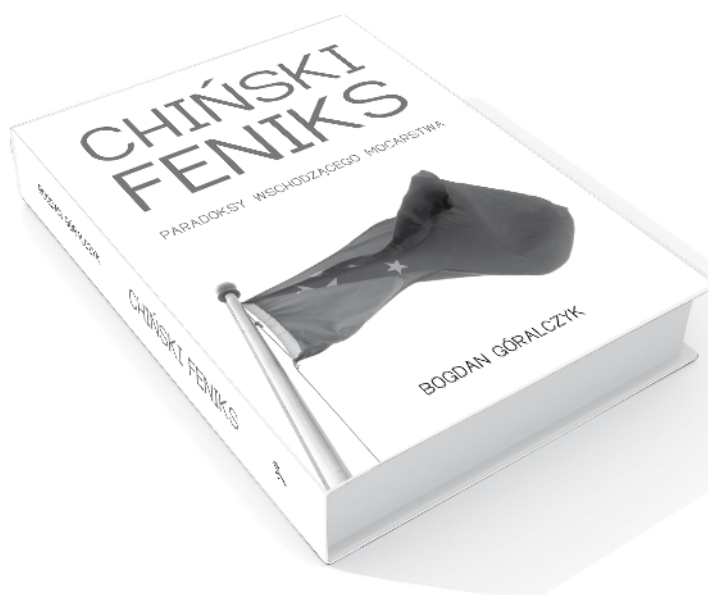
Wszystkich informacji na temat reklamy na łamach kwartalnika *Sprawy Polityczne* oraz witryny internetowej: www.sprawypolityczne.pl udziela WOJCIECH TUROWSKI w.turowski@sprawypolityczne.pl

Sprawy Polityczne (ISSN 2080-8232) są publikowane kwartalnie przez Wydawnictwo Sprawy Polityczne Sp. z o.o. we współpracy z MDI Strategic Solutions. Pismo ukazuje się w miesiącach: marzec, czerwiec, wrzesień, grudzień. Sprawy Polityczne są dostępne w salonach prasowych EMPiK, RUCH oraz w wybranych księgarniach naukowych. Wybór artykułów z każdego numeru oraz archiwum znajduje się na stronie www.sprawypolityczne.pl. Druk: Drukarnia Wydawnictw Naukowych Sp. z o.o., ul. Wydawnicza 1/3 92-333 Łódź. Nakład 1000 egz.

Wydawnictwo Sprawy Polityczne poleca:

BOGDAN GÓRALCZYK

**Chiński feniks
Paradoksy wschodzącego mocarstwa**



sp

www.sprawypolityczne.pl

Twierdzenie o „wyjątkowych” relacjach pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Polską stało się już do tego stopnia nieuprawnione, że potrzeba określenia ich zupełnie na nowo jest absolutnie oczywista. Brak konkretnych korzyści z naszego zaangażowania w Irak i Afganistanie, niezadowolenie z realizacji umów offsetowych za zakup myśliwców F-16, brak perspektywy zniesienia reżimu wizowego dla obywateli państwa będącego „najlepszym przyjacielem USA w Europie”, powodują, że Polacy bardziej czują się związani z Europą niż z USA.

PARTNERSTWO REALISTYCZNE O POTRZEBIE NOWYCH RELACJI POLSKI Z USA

Maciej Brachowicz

Wydaje się, że twierdzenie o „wyjątkowych” relacjach pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Polską stało się już do tego stopnia nieuprawnione, że potrzeba określenia ich zupełnie na nowo jest absolutnie oczywista. Brak konkretnych korzyści z naszego zaangażowania w Irak i Afganistanie, niezadowolenie z realizacji umów offsetowych za zakup F-16, brak perspektywy zniesienia reżimu wizowego dla obywateli państwa będącego „najlepszym

przyjacielem USA w Europie”, sondaże, które po raz pierwszy pokazują, że Polacy bardziej czują się związani z Europą niż z USA, rezygnacja z projektu budowy stałej tarczy antyrakietowej na naszym terytorium i brak pewności co do rozwoju jej alternatywy, czy też ogólne odwrócenie się nowej administracji od problemów europejskich, a problemów naszej części Europy przede wszystkim, stanowczo podkreślone w głośnym liście znanych polityków i naukow-

ców z Europy Środkowej – wszystkie te problemy razem wydawały się w tej materii absolutnie przekonujące. A jednak gdy Amerykanie wystosowali apel do sojuszników o zwiększenie zaangażowania militarnego w Afganistanie, obecny rząd, krytykujący przeciw swoich poprzedników za zbyt ustepliwość wobec supermocarstwa, bez wahania stanął w awangardzie państw wspierających Stany Zjednoczone. Czy dlatego, że jest to „jedyne realne i zarazem ostatni instrument polskiej polityki wobec USA”¹?

Nad tym pytaniem przyjdzie nam się jeszcze zastanowić. Na razie trzeba rozważyć, czy przyczyny naszego rozczarowania postawą USA są słuszne. Bez wątplenia nie jesteśmy bez winy w wymienionym powyżej rejestrze zażaleń. Nasze firmy nie wykazywały nadmiernego zainteresowania irackimi przetargami, umiejętność korzystania z offsetu też nie zawsze była zadowalająca, wielu Polaków w pełni świadomie nielegalnie przedłużyło pobyt w USA, a kolejne rządy nie robią nic, co miałyby ich przekonać do zmiany postawy (problem wiz należy bowiem rozstrzygnąć na forum wewnętrznym, gdyż trudno oczekiwać, żeby Amerykanie zmieniali dla nas prawo lub je naginali), także w przypadku tarczy niezdecydowanie rządu ułatwiło Stanom wycofanie się z tego projektu.

Niemniej jednak w obliczu tak poważnego zaangażowania Polski w Iraku i Afganistanie, w pierwszym przypadku za cenę pogorszenia relacji z częścią państw europejskich, w drugim przypadku w obliczu braku wyraźnego interesu naszego kraju w prowadzeniu misji, której szanse na powodzenie są bardzo nikłe, amerykańska wdzięczność, poza deklaracjami, jest bardzo nikła. Trudno być zadowolonym ze stopnia udzielanej nam pomocy w modernizacji armii albo z rezygnacji z uczynienia Polski filarem obrony przeciwraketowej. Czy zatem Stany Zjednoczone rzeczywiście są głównym gwarantem naszego bezpieczeństwa?

CZYM JEST USA?

CZYM JEST POLSKA?

Odpowiedź na pytanie, czym jest dany kraj w relacjach międzynarodowych, oznacza właściwie określenie, czym ten kraj będzie w perspektywie kilkudziesięciu lat. W przypadku Stanów Zjednoczonych otrzymujemy na ten temat bardzo różne odpowiedzi – od rzadszych obecnie optymistycznych, takich jak George’a Friedmana, iż jest to mocarstwo w fazie dorastania mające przed sobą jeszcze długą żywotność, dla którego obecne wojny w Iraku i Afganistanie okażą się koniecznymi, acz niewiele znaczącymi incydentami², do zdecydowanie

częstszych przepowiedni schyłku Ameryki, ciekawie wyrażonej np. przez Andrew Bacevicha, dla którego obecne konflikty są oznaką dekadencji, gdy ogromnemu wysiłkowi zbrojnemu nie towarzyszy społeczne zainteresowanie ani ograniczenie rozrzutności społeczeństwa amerykańskiego³.

W mojej opinii wieszczenie upadku Stanów Zjednoczonych lub przynajmniej ich drastycznego spadku znaczenia jest przedwczesne. Bez wątpienia dekadencja trapi ten kraj, ale jej zasięg nie jest tak wielki jak w Europie, reakcja na nią bardzo żywa, a kilkadziesiąt lat, od będącej jej źródłem rewolucji obywatelskiej lat 60. XX wieku, to za mało na pełną ocenę jej skutków. Niepoważne byłoby także mówienie o USA jako „hipermocastwie”, jak się je określało w latach 90. ubiegłego wieku. Następuje spadek ich znaczenia ekonomicznego (choć wciąż jest to gospodarka znacznie bardziej innowacyjna niż konkurencji z Chin czy Europy), politycznego (rosnąca ilość sporów rozwiązywanych bez udziału USA), zapewne także i kulturowego, ale na wszystkich tych polach USA pozostają czołowym graczem. Biorąc pod uwagę niezagrożoną dominację militarną, wydaje się, iż w ciągu najbliższych 50 lat można być spokojnym o potęgę amerykańską.

Określając czym jest Polska, należy natomiast zadać pytanie, czym może być Polska dla USA? To Stany Zjednoczone pozostaną bowiem dominującym partnerem w tym układzie, wobec którego Polska będzie musiała się określić, a nie na odwrót. Kilkanaście lat temu Zbigniew Brzeziński podzielił ważne dla Amerykanów kraje na dwie kategorie: graczy geopolitycznych i sworznie geopolityczne. Tymi pierwszymi są państwa, które „chcą i mogą wykorzystywać własną potęgę i wpływy poza swoimi granicami, aby zmieniać – w stopniu oddziałującym na interesy amerykańskie – istniejący

Nasze firmy nie wykazywały nadmiernego zainteresowania irackimi przetargami, umiejętność korzystania z offsetu też nie zawsze była zadowalająca, wielu Polaków w pełni świadomie nielegalnie przedłuża pobyt w USA, a kolejne rządy nie robią nic, co miałyby ich przekonać do zmiany postawy.

geopolityczny stan rzeczy”. Sworzniami geopolitycznymi są natomiast kraje, „których znaczenie nie wynika z ich potęgi czy ambicji, lecz raczej z ważnego położenia geograficznego i skutków ich potencjalnej niestabilności dla zachowań graczy geostrategicznych”⁴.

Nie ma wątpliwości, że lepiej jest być graczem niż sworzniem geopolitycznym, choć nawet status potencjalnego sworz-

nia może mieć tę zaletę, że przyciąga uwagę mocarstwa, ale jego stosunek do państwa będącego sworzniem jest raczej przedmiotowy. Jediną przyczyną, dla której Polska miałaby stać się sworzniem, jest ewentualne zachowanie Rosji. Nie zgadzam się przy tym z Tomaszem Pichórem⁵, który za „absolutnie niepoważne” uznaje myślenie, że Rosja może zagrozić Polsce, wnioskując tak z wojny z Gruzją, która unaoczniała więcej słabości tego kraju niż jego siły. To prawda, że Rosja nie zyskała żadnego politycznego poparcia dla uznania niepodległości Osetii Południowej i Abchazji, że pokonanie armii gruzińskiej (której najlepsze jednostki były, nota bene, zaangażowane w misjach amerykańskich) nie jest żadnym wyczynem. Fatalny jest także stan sił zbrojnych, nie tylko nuklearnych, tego kraju – warto przytoczyć zabawną opowieść Richarda Holbrooke’a, który widział pijanych żołnierzy rosyjskich w skradzionych mundurach gruzińskich, „ponieważ te ich są lepsze niż nasze”. Prawdą jest także, że kryzys dotknął słabą, opartą na surowcach gospodarkę tego kraju w stopniu znacznie wyższym od przeciętnego. Ale trudno zgodzić się z twierdzeniem, że Rosja nie była w stanie osiągnąć swoich celów, gdyż Micheil Saakaszwili pozostał na stanowisku. Jego ustąpienie nie było konieczne. Wystarczy, że plany integracji Gruzji ze światem zachodnim odsunięte zostały na

wiele lat ze względu na brak stabilności wewnętrznej i zewnętrznej.

Porównanie stanu sił zbrojnych Polski i Rosji (do której być może jeszcze trzeba dodać Białoruś) wystarczy do stwierdzenia drastycznej dysproporcji na korzyść armii rosyjskiej, nawet biorąc pod uwagę jej fatalny stan techniczny oraz moralny. Jeżeli do tego dodamy źle przygotowany w czasie polski program przejścia na armię zawodową, oraz fakt, że większość naszej infrastruktury wojskowej wciąż jest przygotowana do odparcia ataku wojsk NATO (które z kolei nie ma planów obrony państw, które przystąpiły do Sojuszu w latach 90. XX wieku, a ospałość organizacji w razie niespodziewanego konfliktu została w pełni uwidoczniła w konflikcie gruzińskim), a duża część naszych oddziałów oraz wydatków na obronę zużywana jest w Afganistanie (nabyte tam i w Iraku „zdolności dowodzenia związkiem taktycznym w wymiarze wielonarodowym i zgodnie z procedurami NATO”⁶ stanowią przy tym istotny, ale jednak nie zasadniczy zysk), nie trudno sobie wyobrazić sytuację, w której Rosja przypuściłaby ograniczony atak na terytorium Polski, starając się przez to uzyskać jakieś cele polityczne. Jakież? Trudno powiedzieć. Może wycofanie Polski z zachodnich projektów integracyjnych, a może „tylko” radykalne osłabienie naszej pozycji w nich jako państwa „antyrosyjskiego”. Do I poł-

wy 2008 r. nikt by nie uwierzył, że Rosja jest w stanie zaatakować państwo, które na poważnie było brane pod uwagę jako ewentualny członek zachodnich sojuszy. Mimo że Rosja to zrobiła, dziś znów jest poważnym partnerem dla państw zachodnich, a przyszłość Gruzji jest niepewna. Polska to nie Gruzja i nie tak łatwo powtórzyć ten scenariusz, ale wykluczyć się go nie da. Umieszczenie stałej tarczy antyrakietowej było zatem projektem mającym nas bronić przed taką ewentualnością, ale teraz nie możemy być już pewni przesunięcia poważnych sił amerykańskich za linię Odry, tym bardziej, że nowa administracja amerykańska została zdominowana przez pozytywnie nastawionych do Rosji doradców, bowiem Rosja jest niezwykle potrzebna w pozytywnym dla Amerykanów rozwoju sytuacji w Afganistanie i Iranie, a ponadto (prorosyjska!) administracja nie przewiduje, aby w ciągu najbliższych 30 lat mogły zajść w Europie wydarzenia mające wpływ na stan bezpieczeństwa światowego⁷. Perspektywy otrzymania statusu sworzni geopolitycznego nie są zatem dla Polski korzystne, ale też, co trzeba przyznać, nie są bardzo prawdopodobne. Zastanówmy się zatem nad możliwością awansu do statusu gracza geopolitycznego.

CO POLSKA MOŻE DAĆ USA?

O b e c n i e d a j e m y U S A g ł ó w n i e s w o j e z a a n g a ż o w a n i e m i l i t a r n e , a l e w z a m i a n o t r z y m u j e m y n i e w i e l e p r z y o g r o m n y c h k o s z t a c h w ł a s n y c h , k t ó r e n i e s ą n a m , w p r z y p a d k u o p e r a c j i w I r a k u c z y A f g a n i s t a n i e , r e f u n d o w a n e . B y ć m o ż e , n i e r e z y g n u j ą c z p o m o c y w d z i a ł a n i a c h U S A i N A T O (m i s j a w A f g a n i s t a n i e j e s t m i s j ą N A T O , c h o ć n i e s ł u s z n i e t r a k t o w a n a j e s t c z ę s t o j a k o o s t a t e c z n y t e s t S o j u z u – w k o ń c u N A T O j e s t S o j u z e m s ł u ż ą c y m g ł ó w n i e d o o b r o n y t e r y t o r i ó w p a ń s t w c z ł o n k o w s k i c h) , p o w i n n i ś m y p r z e j ś c n a r o d z a j z a a n g a ż o w a n i a , k t ó r

Wieszczenie upadku Stanów Zjednoczonych lub przynajmniej ich drastycznego spadku znaczenia jest przedwcześnie. Bez wątpienia dekadencja trapi ten kraj, ale jej zasięg nie jest tak wielki jak w Europie, reakcja na nią bardzo żywa, a kilkadziesiąt lat, od będącej jej źródłem rewolucji obyczajowej lat 60. XX wieku, to za mało na pełną ocenę jej skutków.

ry kosztowałyby nas znacznie mniej, np. przez udział znakomicie wyszkolonych polskich oddziałów specjalnych, które zostały docenione przez mianowanie Andrzeja Karkoszki na stanowisko szefa rady doradczej wojsk specjalnych NATO. Choć nie spowodowałyby to bez wątpienia wzrostu znaczenia Polski w oczach

Amerykanów, obciąłoby koszty i uczyniło nasze zaangażowanie proporcjonalnym do czerpanych korzyści. Być może zwróciłyby także uwagę naszych partnerów na nasze niezadowolenie ze wzajemnych relacji, przy braku możliwości oskarżenia nas o „dezercję”.

Taki ruch, choć warty przemyślenia na początku, nie pozwoliłby nam jednak stać się dla Amerykanów graczem (aktorem), czyli państwem „koniecznym i pożądanym”⁸ w rozwiązywaniu ich problemów i umożliwiającym wyjście z roli statysty. Do tej pory byliśmy bowiem traktowani przez Amerykanów w kategoriach „zasobu”, znajdując się w pułapce „syndromu wykonanego zadania” – Amerykanie do tego stopnia uwierzyli w trwałość i szczerść naszych zobowiązań, że już nie uważają za konieczne przysłuchiwanie się naszym oczekiwaniom⁹. Trzeba zatem znaleźć takie pola działania, które, poza operacjami militarnymi, dadzą Amerykanom powód do myślenia o Polsce jako o państwie niezbędnym w rozwiązywaniu problemów geopolitycznych.

Na horyzoncie rysują się dwie takie możliwości. Pierwszą jest, realizowane już na pewną skalę, zaangażowanie jako promotora demokracji i stabilności gospodarczo-politycznej w państwach leżących za południowo-wschodnią granicą

Unii Europejskiej, a więc od Bałkanów do państw bliskiego i środkowego Wschodu, regionu o niezwykle znaczeniu geopolitycznym, którego określenie się staje się kluczowe dla przyszłości. W strategii tej Polska, jako kraj przechodzący niedawno podobne zmiany, będąca żywym świadectwem udanego zaangażowania Amerykanów w proces demokratyczny i nieobciążona odium imperializmu, miałaby być skutecznym pośrednikiem, stanowiąc dla Amerykanów wydatną pomoc¹⁰. Podstawowa wątpliwość dotyczy tu jednak tego, czy obecna administracja amerykańska jest równie zainteresowana szerzeniem demokracji, co poprzednia. Można bowiem odnieść wrażenie, że Barack Obama nie wydaje się zainteresowany szerzeniem demokracji (nie tylko w Afganistanie), przez co oddaje pola

Określając czym jest Polska, należy natomiast zadać pytanie, czym może być Polska dla USA? To Stany Zjednoczone pozostaną bowiem dominującym partnerem w tym układzie, wobec którego Polska będzie musiała się określić, a nie na odwrót.

w ideologicznej rywalizacji swoim rosyjskim rywalom propagującym „odmienny system demokracji”¹¹, jaki panuje w ich państwie. Dodatkowo trzeba zauważyć, iż zmniejszenie zaangażowania w promowanie członkostwa Ukrainy i Gruzji w NATO ze strony USA „odebrało pol-

skiemu programowi polityki wschodniej główne źródło siły zewnętrznej¹².

Druga możliwość, związana z pierwszą, to zaangażowanie w projekty inwestycyjne – głównie energetyczne – w Iranie. Choć jest to państwo wrogie Zachodowi, niewykluczone, iż jego przemiany doprowadzą w przewidywalnym czasie do zbliżenia z USA w miejsce Arabii Saudyjskiej, z którą łączy USA coraz gorsze relacje. Niewykluczone zatem, że dojdzie w tym regionie do znaczącego „odwrócenia sojuszy”¹³. Szybkie i poważne zaangażowanie w projekty energetyczne, potrzebne nam niezależnie od relacji z Amerykanami, mogłoby uczynić z nas ważnego partnera w sytu-

Polska musi wyjść poza politykę uciechy z naszego bezpieczeństwa w sojuszach zachodnich i samodzielnie zaangażować się w regionach, które są kluczowe dla Stanów Zjednoczonych. Tylko w ten sposób staniemy się ich wiarygodnym partnerem.

acji, gdyby doszło do nowego otwarcia w relacjach Iranu z Zachodem. Mogłoby też zmniejszyć naszą zależność od Rosji, a tym samym ograniczyć konfliktogenne stosunki z nią, tak niemiłe amerykańskiej administracji. Warto nadmienić, iż wiele europejskich firm nie stroni od takiego zaangażowania przy patronacie swoich państw.

Nie można także zapominać o tym, że Polska jest państwem członkowskim UE, co nie pozostaje bez wpływu na nasze relacje z USA. Przyszłoroczna prezydencja będzie stanowiła okazję do promowania większego zaangażowania UE (z zasadniczym udziałem Polski) poza granicami wschodnimi, ale trzeba pamiętać, że w nowej strukturze instytucjonalnej możliwe do wykorzystania będą głównie instrumenty nieformalne, gdyż polityka zagraniczna nie będzie już formalnie w kompetencji państwa sprawującego prezydencję. Polska pozostaje także, mimo wszystko, jednym z najbardziej przychylnie nastawionych do USA państw członkowskich i może przyczynić się do utrzymywania dobrych relacji z tym państwem całej Unii. Jednym z instrumentów może być np. zaangażowanie w rozwój Europejskiej Polityki Bezpieczeństwa i Obrony, która wbrew swojej nazwie jest (lub raczej będzie) instrumentem realizacji polityki poza granicami UE. Rozwinięte możliwości tej polityki mogłyby stanowić wydatną pomoc USA, przyczyniając się dodatkowo do minimalizacji zagrożenia rezygnacji Stanów Zjednoczonych ze swojej funkcji obronnej w Europie w ramach NATO. Trzeba bowiem mieć na uwadze, że tendencje izolacjonistyczne w społeczeństwie amerykańskim są zawsze bardzo silne.

CO USA MOŻE DAĆ POLSCE?

Korzyści, jakie może przynieść nam rzeczywisty sojusz z USA, są dobrze rozpoznane. USA pozostają głównym gwarantem naszego bezpieczeństwa i choć realizują tę funkcję głównie w ramach NATO, perspektywa wystarczająco bezpiecznego status quo jest dobra dla Niemców, którzy na swoim terytorium mają największą bazę amerykańską w tej części globu. Budowa stałej tarczy antyrakietowej miała służyć przesunięciu stałej amerykańskiej bazy na wschód i tym samym obszarowi, który jest przedmiotem bezpośredniej troski USA o bezpieczeństwo, z pominięciem uciążliwych procedur NATO. Znaczenie takiej instalacji potrafili docenić również analitycy uważający perspektywę geopolityczną za przestarzałą, niepasującą do naszych czasów: „rakiety i obrona przeciwrakietowa są nowym sposobem prowadzenia wojen, nowym instrumentem, na podobieństwo tego, czym w czasie pierwszej wojny światowej były pociągi pancerne i pojazdy opancerzone, a w czasie drugiej wojny światowej – czołgi i samoloty”¹⁴.

Nowy projekt tarczy antyrakietowej nie jest już dla nas tak korzystny, jak poprzedni, gdyż zakłada możliwość przeniesienia jej elementów z Polski do innych państw, a poza tym nie daje tak uprzywilejowanej pozycji Polsce. Poza tym wiążą się z nim liczne wątpliwości: czy w Polsce będzie tylko wyrzutnia czy

cała baza logistyczna? Wydaje się, że co najwyżej wyrzutnia, gdyż gotowe bazy są już w Niemczech, Włoszech i Turcji, a do tego Amerykanie coraz intensywniej współpracują z Rumunią i Bułgarią. Po drugie, Polska jest poza zasięgiem rakiet Iranu, w związku z czym niewykluczone, że nawet wyrzutnie będą gdzie indziej (w krajach, którym te rakiety zagrażają). Po trzecie, budowa tarczy wykracza daleko poza horyzont czasowy administracji Obamy. Mimo to jednak powinniśmy w ten projekt inwestować, ale ostrożniej niż w poprzedni. W związku z tym należy domagać się od Amerykanów dodatkowych gwarancji, np. harmonogramu budowy bazy i sztywnego terminu osiągnięcia przez nią gotowości operacyjnej¹⁵. Z punktu widzenia wzajemnej współpracy między Polską i USA byłoby bardzo źle, gdyby kolejny projekt został anulowany w sytuacji, gdy Polska włożyła już w niego znaczny wkład polityczny.

Wreszcie, powinniśmy się domagać od Stanów Zjednoczonych zwiększonej pomocy wojskowej, która przypominałaby chociaż wkład, jaki Amerykanie mają w modernizacji armii Egiptu czy Izraela. Należy także dążyć do udostępnienia nam najnowszych technologii wojskowych, takich jak systemy rakietowe Thaad zastępujące starzejące się już Patriots. Choć zapomnieć można o wizji Friedmana, w której – w obliczu upadającego znaczenia Rosji i Niemiec oraz ro-

snącego znaczenia wrogiej Stanom Turcji – Polska staje się głównym sojusznikiem USA w regionie i regionalnym mocarstwem. Spełnienie warunków opisanych w poprzedniej sekcji mogłoby znacząco zwiększyć nasze szanse na wzrost zainteresowania polskim bezpieczeństwem ze strony polityków zza oceanu.

KONKLUZJE

Po 20 latach transformacji Polska ma za sobą wiele niewykorzystanych szans i niespełnionego potencjału. Z pewnością Amerykanie, inwestując politycznie w Polskę w latach 90. XX wieku, spodziewali się, że lepiej wykorzystamy ten czas. Jeżeli dziś nie traktują nas zbyt poważnie, uważając, według słów Zbigniewa Brzezińskiego, że wystarczy nam komplementy z ich strony, wynika to zapewne z rozczarowania naszą pozycją. Tym samym słusznie można powiedzieć, iż „sprzecznością byłoby [po tym okresie] poczucie samodzielności, niezależności i

wzrastającej pozycji oraz dążenie do tego, aby polski głos był słyszalny, i jednocześnie [jednostronne] oczekiwanie pomocy i wsparcia ze strony USA”¹⁶.

Dlatego Polska musi wyjść poza politykę uciechy z naszego bezpieczeństwa w sojuszach zachodnich i samodzielnie zaangażować się w regionach, które są kluczowe dla Stanów Zjednoczonych. Tylko w ten sposób staniemy się ich wiarygodnym partnerem. Wiadomo jednak, że Polsce niełatwo przychodzi podobne zaangażowanie. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że nasz wkład w „pomarańczową rewolucję” nie przełożył się na trwałe wkład w ukraińskie przemiany, a nasze dawne kontakty biznesowe z Irakiem nie przełożyły się na obecne zaangażowanie naszych rodzimych firm w tym kraju, można mieć poważne wątpliwości co do zdolności naszego kraju do realizacji podobnych projektów. Jednakże, jeżeli po 20 latach nie jesteśmy w stanie samodzielnie podjąć się podobnej polityki, sami możemy obwiniać się o status pariasa w amerykańskiej perspektywie geopolitycznej.

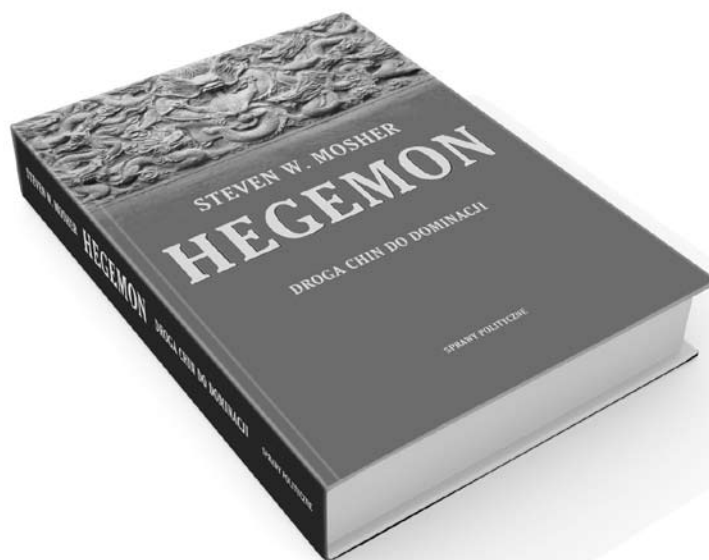
1. O. Osica, *Obama jest naszym dłużnikiem*, „Tygodnik Powszechny”, 50/2009.
2. Zob. G. Friedman, *Następne 100 lat. Prognoza na XXI wiek*, AMF Plus, Warszawa 2009.
3. Zob. A.J. Bacevich, *The Limits of Power. The End of American Exceptionalism*, Metropolitan Books, New York 2009.
4. Z. Brzeziński, *Wielka szachownica*, Bertelsmann Media, Warszawa 1999, ss. 40-41.
5. T.D. Pichór, *Koniec najważniejszego sojuszu? Polska w polityce nowej administracji*, „Nowe Sprawy Polityczne”, wiosna 2009, s. 16.
6. Gen. M. Bieniek, *Prywatne wojny z MON*, „Rzeczpospolita” z 5 stycznia 2010 r.
7. Taką tezę wygłosił M.A. Cichocki podczas konferencji „Koniec stosunków transatlantycznych? Relacje USA-UE a polskie interesy”, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków, 19 grudnia 2009 r.
8. K. Szczerski, *Analiza neogeopolityczna (neo-geo)* [w:] tenże (red.), *Podmiotowość geopolityczna. Studia nad polską polityką zagraniczną*, Krajowa Szkoła Administracji Publicznej, Warszawa 2009, s. 22.
9. Zob. B. Wiśniewski, *Ku strategicznemu partnerstwu: stosunki polsko-amerykańskie 1989-2009*, „Polski Przegląd Dyplomatyczny”, t. 9, nr 4-5, s. 38.
10. Zob. tamże, ss. 42-43.
11. D. Henniger, *The Dumbing Down of Democracy*, “The Wall Street Journal”, July 9, 2009.
12. P. Żurawski vel Grajewski, *Dwie dekady polskiej polityki zagranicznej 1989-2009* [w:] J. Kloczkowski (red.), *Rzeczpospolita 1989-2009. Zwykłe państwo Polaków?*, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2009, s. 300.
13. Zob. J.F. Staniłko, *Geopolityczne dylematy Polski*, „Arcana”, 5/2009, ss. 38-39; tenże, *Nie dajmy Amerykanom o nas zapomnieć*, „Rzeczpospolita” z 25 września 2009 r.
14. A.D. Rotfeld, *Polityka suwerennej Polski w niestabilnym świecie*, „Sprawy Międzynarodowe”, 4(LXI), 2008, s. 14.
15. Zob. J. Kulesa, *Tarcza Obamy. Prawda czy zmyłka?*, „Polski Przegląd Dyplomatyczny”, t. 9, nr 4-5, 2009, ss. 54-55.
16. P. Pacuła, *Polska-USA: co może nam dać partnerstwo z Waszyngtonem?*, „Bezpieczeństwo Narodowe”, 7-8/2008, s. 84, do pobrania: http://www.bbn.gov.pl/portal/pl/422/1308/Co_mozze_Polska.html.

Wydawnictwo Sprawy Polityczne poleca:

STEVEN W. MOSHER

Hegemon

Droga Chin do dominacji



sp

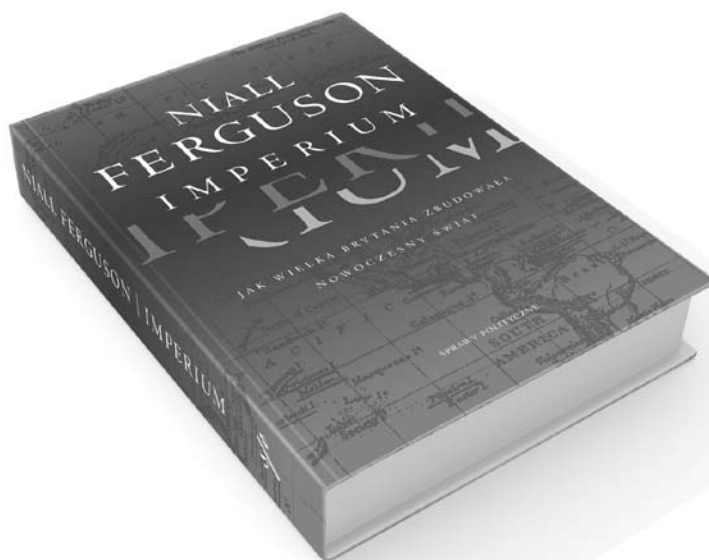
www.sprawypolityczne.pl

Wydawnictwo Sprawy Polityczne poleca:

NIALL FERGUSON

Imperium

Jak Wielka Brytania zbudowała nowoczesny świat



sp

www.sprawypolityczne.pl

OBAMA JEST PIERWSZYM POSTAMERYKAŃSKIM PREZYDENTEM. CENTRALNY PUNKT JEGO WIZJI ŚWIATA STANOWI ODRZUCENIE WYJĄTKOWEJ POZYCJI AMERYKI I KONSEKWENCJI, JAKIE SIĘ Z TYM WIĄŻĄ. I DLATEGO, ŻE PRZYTLACZAJĄCA WIĘKSZOŚĆ LUDZI NA ŚWIECIE MILE WIDZIAŁABY KONIEC WYJĄTKOWEJ POZYCJI AMERYKI, SĄ ZACHWYCENI OBAMĄ.

POSTAMERYKAŃSKI PREZYDENT

John Bolton

Ocena polityki bezpieczeństwa wewnętrznego nowego prezydenta sprawującego urząd od sześciu miesięcy jest przedsięwzięciem ryzykownym, zwłaszcza w przypadku Baracka Obamy, którego nieustanne zakłęcia o „zmianie” i fala krytyki jego poprzednika są na porządku dziennym.

Podczas wyborów wstępnych w 2008 roku kandydaci Demokratów zawzięcie dyskutowali o swoich indywidualnych możliwościach, aby poradzić sobie z „nocnym telefonem” (aluzja do 3 am. call – reklamy wyborczej Hillary Clinton, w której pokazano, że jest ona w stanie zapewnić Amerykanom bezpieczeństwo i poradzić sobie z międzynarodowym konfliktem). Joe Biden ostrzegał później, że niedoświadczony senator z Illinois zo-

stanie wcześniej „poddany próbie” jako prezydent.

Obama jest pierwszym postamerykańskim prezydentem. Centralny punkt jego wizji świata stanowi odrzucenie wyjątkowej pozycji Ameryki i konsekwencji, jakie się z tym wiążą. I dlatego, że przytlaczająca większość ludzi na świecie mile widziałaby koniec wyjątkowej pozycji Ameryki, są zachwyceni Obamą.

Podczas pierwszej prezydenckiej podróży do Europy pewien student zapytany o to, jak ocenia spotkanie z Obamą, powiedział entuzjastycznie: „Zachowuje się jak Europejczyk”. Rzeczywiście, tak się zachowuje.

Oczywiście jako doświadczony polityk Obama nigdy otwarcie nie przyzna, że neguje wyjątkową pozycję USA w świe-

JOHN BOLTON jest amerykańskim politykiem konserwatywnym, był ambasadorem Stanów Zjednoczonych przy ONZ. Poniższy artykuł ukazał się na łamach brytyjskiego miesięcznika *Standpoint*. © Standpoint Magazine, 2009. Tłumaczenie Beata Wilga.

cie. Nagabywany w tej kwestii podczas podróży Obama odparł: „Wierzę w wyjątkową rolę Ameryki, tak jak podejrzewam, że Brytyjczycy wierzą w wyjątkową pozycję Wielkiej Brytanii i Grecy wierzą w wyjątkową pozycję Grecji”. Jego odpowiedź stanowi dokładne przeciwieństwo tego, co pozornie mówi. Jeśli wszystkie kraje są wyjątkowe, to żaden tak naprawdę nie jest. Obama jest zbyt bystry, żeby o tym nie wiedzieć i wystarczająco sprytny, żeby mieć nadzieję na to, że Amerykanie przestaliby go słuchać po wypowiedzeniu pierwszego zdania.

Atrakcyjniejsze przedstawienie tej kwestii przypadło uwielbiającemu Obamę publicyście, co też istotnie mu się udało, gdyż nieświadomie planował Obamę pochwalić. Analizując przemówienie Obamy z okazji 65. rocznicy D-Day, redaktor Newsweek'a Evan Thomas, porównał go do Ronalda Reagana w 1984 roku: „Cóż, dobre z nas były chłopaki w 1984, tacy czuliśmy się wtedy. Ale nie czujemy się tak teraz. Zatem przed Obamą naprawdę stoi inne zadanie... Reaganowi we wszystkim chodziło o Amerykę... Obamie chodzi o to, że 'teraz wykracza my ponad to'. Nie jesteśmy zaściankowi, nie jesteśmy szowinistami, nie jesteśmy prowincjuszami. Na czymś nam zależy. Wierzę, że sposób, w jaki Obama wykracza ponad swój kraj, ponad świat, uczyni z niego kogoś na kształt Boga... który zamierza wszystko scalić”.

Thomas bardzo się mylił co do przemówienia Reagana, które stanowiło nieprzerwaną pochwałę sojuszników Ameryki, a porównanie Obamy do Boga było oszałamiające, nawet jak na służby prasowe USA. Ale kluczowy wniosek Thomasa był niewątpliwie słuszny: Obama „wykracza” ponad wszystkie te patriotyczne kwestie.

Obama nie jest pierwszym kandydatem Demokratów, który wyznaje takie poglądy, ale pierwszym, który wygrał wybory. Ówczesny wiceprezydent George H.W. Bush najlepiej opisał tę postawę w 1988 roku, przeciwstawiając siebie ze swoim kontrkandydatem Michaeliem Dukakisem: „Postrzega Amerykę jako kolejny przyjemny kraj na usługach ONZ-u, gdzieś pomiędzy Albanią i Zimbabwe. Ja postrzegam Amerykę jako lidera – wyjątkowy naród ze szczególną rolą na świecie”. Podejście Dukakisa i Obamy – powszechną „moralną równorzędność” – wyznaje wielu europejskich przywódców, ale nie były prezydent USA. I dlatego teraz dowiemy się, jak bardzo staliśmy się europejscy.

Pozostałe dwa elementy systemu Obamy są istotne. Po pierwsze, to nie jest George W. Bush. To Barack Obama, człowiek, który napisał już dwie autobiografie i który systematycznie i bez wysiłku wspinał się po najwyższy urząd publiczny. Odtąd Obama musi robić niewiele, poza pokazaniem, że „zmiana” obejmie cały świat, bez potrzeby „szowinistycznych”

wysiłków w imię „zaściankowych” interesów Ameryki, które, jak wyraził to „prezydent Bush, są nieuchronnie butne i lekceważące wobec innych. Po drugie, Obama nie przywykł do rządzenia, lecz do prowadzenia kampanii lub sprawowania bardziej władzy wykonawczej niż ustawodawczej w rządzie. Kampania wciąż trwa, ale od czasów Reagana prezydentowi nie udało się osiągnąć kompromisu dotyczącego rządu. Co więcej, słabość psychologicznej przemiany z senatora na prezydenta jest odwiecznym amerykańskim problemem. Prezydentura faktycznie oznacza rządy, w przeciwieństwie do ciągłego wygłaszania przemówień i głosowań, które to tak bardzo uwielbiają senatorskie „koni paradne” (w odróżnieniu od „koni roboczych”). Ponadto czy to jako ustawodawca, czy jako prowadzący kampanię Obama koncentrował się raczej na polityce wewnętrznej niż zagranicznej – jawnie się zresztą obnosząc z tymi preferencjami (z jednym wyjątkiem – przeciwstawienia się wojnie w Iraku w czasie kampanii w 2008 roku).

Odpowiedź na powyższą analizę stanowi liczba spraw, które Obama zasadniczo zatwierdził, bądź kontynuacja polityki administracji Busha. Na przykład plan wycofania wojsk amerykańskich z Iraku i ogólne stanowisko USA w kwestiach politycznych i wojskowych do tej pory nie różni się zasadniczo od propozycji

Busha. Spektakularna liczba zatrzymań i przesłuchań terrorystów z czasów Busha pozostała na swoim miejscu pomimo propagandowych sukcesów związanych z podpisaniem dekretów prezydenckich o zamknięciu Guantanamo i zaprzestaniu „udoskonalonych technik przesłuchań”. W rzeczywistości sam Bush wykazywał chęć zamknięcia Guantanamo i podejrzewał, że krytykowane metody przesłuchań były wykorzystywane bardzo rzadko kilka lat wcześniej. Ostatecznie wzrost sił wojskowych USA w Afganistanie, dokonany przez Obamę, został zaplanowany w czasie prezydentury Busha (nawet jeszcze większy wzrost) i podczas kampanii w 2008 roku popierał go również kandydat Republikanów John McCain.

Obama odniósł sukces, znakomicie przedstawiając Irak jako wojnę Busha (a potem McCain’a), wykorzystując wewnątrzpartyjną opozycję do zabrania nominacji Partii Demokratycznej pewnemu zwycięzcy – Hillary Clinton. Prezydentura Obamy, zadając męki amerykańskiej lewicy, ma na celu ochronić go od konserwatywnej krytyki, kiedy będzie reorganizował amerykańską gospodarkę. Lewica wie, że nie ma gdzie szukać wsparcia, wie o tym również Obama. Ta sama logika odnosi się do przesłuchań i aresztowań, chociaż w rzeczywistości nowa administracja spotęgowała niewygodną wiedzę: co zrobić ze schwytanymi okrutnymi terrorystami i ekstremistami

zostaje faktycznie najtrudniejszą kwestią. Teraz Obama nie może krytykować z trasy kampanii ani z senatorskiej mównicy, ale musi naprawdę stać się „głównowodzącym” Ameryki, sprawnie ingerować w rzeczywistość. To były ciężkie sprawy dla Busha, będą również ciężkie dla Obamy. Nikt w Waszyngtonie nie przeoczył krytyki z lewego skrzydła Partii Demokratycznej i jej ultimatum, że Obama ma do słownie rok na rozwiązanie problemu z Afganistanem. Zatem powodzenia! (Nikt w Waszyngtonie także nie przeoczył niechęci Europy do materialnego wsparcia sił wojskowych w Afganistanie pomimo obaw, że inauguracja Obamy mogłaby rozpętać falę współpracy niespotykaną podczas rządów Busha).

Mówiąc krótko, te domniemane przykłady silnej polityki zagranicznej USA są w istocie nieprawidłowościami spowodowanymi polityką wewnętrzną. Mogą fascynować na krótką metę, ale są nieistotne dla głównego nurtu Obamy. To, że początkowe kroki Obamy w kilku obszarach mają wiele wspólnego z polityką Busha, bardziej świadczy o upadku doktryny Busha w czasie jego drugiej kadencji niż o wizji Obamy. Bush, jak na ironię, stawał się jak Obama – z wyprzedzeniem, zamiast odwrotnie.

Ale przejdźmy do szczegółów, gdzie Korea Północna stanowi najlepszy przykład określenia strategii Obamy i niemożność jej funkcjonowania. Korea Północna miała stać się pierwszym beneficjentem, kiedy nowy prezydent oznajmił 20 stycznia: „Do tych, którzy kurczowo trzymają się władzy dzięki korupcji i oszustwom oraz tłumieniu buntu... wyciągniemy

To Barack Obama, człowiek, który napisał już dwie autobiografie i który systematycznie i bez wysiłku wspiął się po najwyższy urząd publiczny. Odtąd Obama musi robić niewiele, poza pokazaniem, że „zmiana” obejmie cały świat, bez potrzeby „szowinistycznych” wysiłków w imię „zaściankowych” interesów Ameryki, które, jak wyraził to „prezydent Bush, są nieuchronnie butne i lekceważące wobec innych.

dłoń, jeśli przestaną zaciskać swoją pięść”. Jednak na nieszczęście Obamy Pjongjang najwyraźniej nie oglądał inauguracyjnego przemówienia. Przygotowywał się za to do drugiej próby nuklearnej i do wystrzelenia wielogłowicowych pocisków balistycznych oraz zajęcia się nowymi działaniami terrorystycznymi, przygotowując skazanie dwóch amerykańskich dziennikarek schwytanych w pobliżu granicy chińskiej na 12 lat ciężkich robót.

Zachowanie Pjongjangu zostawiło nową administrację w trudnej sytuacji.

To nie był scenariusz, według którego miał postąpić Kim Dzong Il, a wynik wyborów politycznych wprawiał w zakłopotanie Obamę. Czy powinien on zmienić podwójne decyzje Busha o usunięciu Korei Północnej z amerykańskiej listy państw wspierających terroryzm i pozwolić na jej wejście na międzynarodowe rynki finansowe? Postępując tak, o dziwo, prowadziłby twardszą politykę niż Bush, kiedy opuszczał urząd. Czy Obama powinien ponadto nalegać na poważne nowe sankcje w Radzie Bezpieczeństwa ONZ i jeśli tak, czy powinien przekonać Rosję i Chiny, aby go poparły? I jaki wniosek wyciągnęłyby pozostałe kraje rozpowszechniające broń nuklearną, jeśli Korea Północna skutecznie okazałaby się amerykańskim blefem? Gdzie „podziała się” chęć do współpracy Korei Północnej i dlaczego nie kontynuowała ona rozmów w ramach komisji sześciostronnej?

Do dziś Obama wykazuje zakłopotanie i niezdecydowanie w swej odpowiedzi, chociaż wiele pozostało do wyjaśnienia. Intensywne wysiłki dyplomatyczne o surowsze sankcje Rady Bezpieczeństwa przyczyniły się tylko do niewielkich poprawek obowiązujących sankcji ONZ nałożonych na Koreę Północną w październiku 2006 roku, po tym, jak przeprowadziła ona próbę z bronią nuklearną. Amerykańskie dziennikarki pozostały dalej w więzieniu. Jednak najbardziej istotny błąd Obamy, nawet podczas

intensywnych prac nad wywarcie międzynarodowego nacisku na Pjongjang, polegał na tym, że jego celem było tylko nakłonienie Korei Północnej do negocjacji. Co więcej, Korea odmówiła powrotu do komisji sześciostronnej, prawdopodobnie z powodu chęci wymuszenia dalszych ustępstw ze strony ONZ. Ale nawet jeśli Kim Dzong Il czuł się zobowiązany wobec Obamy do wznowienia negocjacji, nic więcej nie można było osiągnąć, bowiem niepowodzenia poprzednich sześciu lat i wiele wcześniejszych niepowodzeń udowodniły, że Korea Północna nie zamierza prowadzić rozmów na temat swojego programu nuklearnego. Dlatego też, nawet jeśli Obama osiągnęłyby swój podstawowy cel wznowienia rozmów, nie rozwiązałyby zasadniczego problemu.

Nigdzie indziej Obama nie zareagował ostrożej na agresywny ton Korei Północnej niż w Iranie. Bliska, długa współpraca pomiędzy Iranem i Koreą Północną w sprawie technologii rakiet balistycznych i prawdopodobnie w sprawie ich programu nuklearnego (czego przykładem był północnokoreański reaktor w Syrii zniszczony przez Izrael we wrześniu 2007 roku) była istotna dla obydwu krajów. Podczas kampanii w 2008 roku Iran stał się dla Obamy wzorem tego, jak różni się jego polityka zagraniczna od Bushowskiej. Iran właśnie stanowił dokładnie tę kwestię, przez którą bezpośrednio, bilateralne negocjacje, włącznie

z samym prezydentem Obamą, mogłyby zarówno zasadniczo polepszyć stosunki polityczne USA i Iranu, jak również wyeliminować zagrożenie nuklearne Iranu. Jednak po objęciu władzy administracja prowadziła wyczerpującą debatę na temat polityki wewnętrznej, blokując potencjalnie znaczące zmiany w polityce, aż zbliżające się wybory w Iranie uniemożliwiły realne działania do czasu poznania wyników. W międzyczasie, bez wyraźnych przeszkód trwały nieustające wysiłki Iranu, aby wzbogacić uran oraz rozszerzyć program nuklearny. Nawet niekończące się, nieudolne wysiłki negocjacyjne Unii Europejskiej dobiegły końca.

Dlatego zamiast szybkiego i zdecydowanego działania, ale zgodnie ze swym stylem rządzenia, Obama skierował się ku retoryce, najbardziej widocznej w jego przemówieniu z 4 czerwca w Kairze. Tam, we fragmencie dotyczącym Iranu, Obama przedstawił swoją wizję „wykraczania poza świat”: „Rozumiem tych, którzy protestują, że jedne kraje posiadają broń, a inne nie posiadają. Żaden kraj nie powinien decydować, które państwo może mieć broń atomową... I każdy kraj – łącznie z Iranem – powinien mieć prawo do energii atomowej wykorzystywanej pokojowo, o ile jest to zgodne z postanowieniami Traktatu o Nierozprzestrzenia-

niu Broni Atomowej”. Co więcej, w sprawie wspierania terroryzmu przez Iran, jak finansowanie Hamasu i Hezbollahu, administracja Obamy powiedziała i zrobiła niewiele, zrzekając się faktycznie obowiązków przywództwa.

Podczas pierwszej prezydenckiej podróży do Europy pewien student zapytany o to, jak ocenia spotkanie z Obamą, powiedział entuzjastycznie: „Zachowuje się jak Europejczyk”. Rzeczywiście, tak się zachowuje.

Pomimo kontrowersyjnego wyniku wyborów prezydenckich z 15 czerwca, Obama potwierdził jednak, że wciąż chce bezpośrednich dwustronnych negocjacji z Iranem. Takie negocjacje skończą się z pewnością tym, że Teheran cały czas będzie kontynuował pogoń za bronią nuklearną i wspierał terroryzm. W sprawie Iranu wiele pozostaje do wyjaśnienia, ale duchowe podejście Obamy dzisiaj nie wróży dobrze. Państwa arabskie sąsiadujące z Iranem również wyczuwają słabość USA i zareagują stosownie do niej, albo starając się o własny potencjał broni nuklearnej, albo zawierając porozumienia z nowym hegemonem w Iranie, albo jedno i drugie. W każdym bądź razie stabilizacja strategiczna w regionie osłabnie.

Oczywiście blisko powiązany z Iranem jest spór arabsko-izraelski, a w nim ujawnia się najbardziej „antybushowski”

aspekt prezydentury Obamy. Wśród Arabów, a szczególnie muzułmanów, odpowiedź na przemówienie Obamy w Kairze była niezwykle przychylna. Miejsce, ton i cytaty z Koranu wzbudziły niesłychany entuzjazm, nawet jeśli większość przyznaje, że przemówienie w niewielkim stopniu dotykało istoty problemu. Trudno jest obiektywnie zrozumieć, dlaczego wywołało ono taką euforię, ponieważ tekst nie różnił się od wielu przemówień Busha, ale jej fakt jest bezsporny.

To, czy przemówienie Obamy przyniesie zmiany w realnym świecie i jak długo trwać będzie euforia, to zupełnie inne kwestie. Tym, co powoduje znaczące zmiany, jest dramatyczna zmiana postawy Ameryki wobec Izraela i pozornie niekończącego się „procesu pokojowego na Bliskim Wschodzie”. Obama, wśród wielu istotnych zmian, przyjął europejski pogląd, że rozwiązanie arabsko-izraelskiego sporu ułatwi rozwiązanie wszystkich innych problemów na Bliskim Wschodzie i zażądał dostosowania się do „rozwiązania pomiędzy dwoma krajami” bez tolerancji dla odstępstw, przyjmując najtwardsze stanowisko USA wobec rozszerzającego się izraelskiego „osadnictwa” na Zachodnim Brzegu od czasów wojny w 1967 roku. Nalegał również na przyspieszenie „procesu pokojowego” w sposób, który może działać tylko

na niekorzyść Izraela. I co najważniejsze, Obama zabronił premierowi Benjaminowi Netanjahu użycia siły przeciwko potencjałowi nuklearnemu Iranu pomimo powszechnego przekonania, że Teheran może obecnie wyprodukować broń nuklearną, kiedy tylko chce, nie zważając na czynniki zewnętrzne czy naciski.

Izrael nigdy nie był bardziej oddalony od Białego Domu, ale politycznie Obama faktycznie otoczył się proizraelską społecznością, doświadczając niewielu – jeśli w ogóle – niepomysłnych politycznych konsekwencji. Może postrzegać tę społeczność bardziej wnikliwie niż inne, odczuwając znużenie walkami Izraela

To, że początkowe kroki Obamy w kilku obszarach mają wiele wspólnego z polityką Busha, bardziej świadczy o upadku doktryny Busha w czasie jego drugiej kadencji niż o wizji Obamy. Bush, jak na ironię, stawał się jak Obama - z wyprzedzeniem, zamiast odwrotnie.

które może wykorzystać albo przynajmniej użyć do ochrony swoich politycznych skrzydeł. Oczywiście strategiczne cele Ameryki pozostają niezależne od wyborców w kraju, ale podstawowy fakt polityczny stanowi to, że jeśli proizraelska społeczność toleruje politykę Obamy, to nie powinno budzić zdziwienia, że wielu Amerykanów po prostu straciło zainteresowanie. Na to właśnie może liczyć

Obama, w chwili gdy „czmycha” przed Izraelem w drodze do Damaszku, Teheranu i innych egzotycznych miejsc.

Jak na ironię, ważne kwestie kampanii 2008 roku, takie jak Irak i Afganistan, wybladły ostatnio od politycznej wzniosłości. Ale pojawiła się nowa kwestia, w sprawie której administracja Busha popełniła wiele błędów i na którą nie zwracała w ogóle uwagi, a mianowicie Pakistan. Ryzyko destabilizacji w Pakistanie lub co gorsza przejęcia władzy przez talibów, samych lub sprzymierzonych z innymi ekstremistami, jest dalece bardziej groźne niż to, że talibowie wrócą do władzy w Afganistanie. Nikt nie chce znowu Al-Kaidy czy innych terrorystów, aby mieć bezpieczną przystań w niedostępnych miejscach, ale Pakistan w ich rękach stanowi nuklearne zagrożenie. Trwająca destabilizacja mogłaby spowodować utratę kontroli militarnej nad bronią nuklearną, a zatem stworzyć zagrożenie terrorystyczne na całym świecie. O wiele gorsze byłoby zupełne przejęcie władzy w Pakistanie przez radykałów z całkowitym arsenałem nuklearnym do ich dyspozycji (jak szacują wolne źródła od 60 do 200 głowic nuklearnych).

Obama, tutaj musimy potwierdzić, uczynił z Pakistanu o wiele ważniejszy priorytet dla USA – udzielił amerykańskiego wsparcia jego rządowi i powołał

specjalnego wysłannika do spraw afgańsko-pakistańskich, aby podkreślić ich ważność. W tym przypadku bycie „antyBushem” stanowi plus, ale jak długo obecna postawa Obamy pozostanie widoczna? Jak zauważono powyżej, wielu

Długo po tym, jak skończy się Obamomania, geostrategiczne konsekwencje tej lekkomyślności będą dotkliwie odczuwane. Oczywiście wtedy może już być za późno.

demokratów jest dość niezadowolonych z jego polityki wobec Afganistanu i to samo dotyczy twardej postawy w Pakistanie. To główna kwestia ze wszystkich „palących” kwestii, w obliczu których stoi obecnie Obama. Pakistan i jego broń nuklearna może stać się jego największym i najważniejszym sprawdzianem.

Analiza tych ważnych kwestii, z którą zmierza się nowa administracja, nie powinna prowadzić nieuchronnie do wniosku, że są one najważniejsze. Na przykład Rosja i Chiny pojawiły się tylko na marginesie powyższej dyskusji, a amerykańskie sąsiedztwo w zachodniej hemisferze – w ogóle. Kontrolę zbrojeń, rosyjskie i chińskie wysiłki, aby rozszerzyć albo wzmocnić swoją dominację w regionie, i wzrost globalnego, gospodarczego znaczenia Chin poznamy dopiero później. Prezydent Wenezueli Hugo Chávez zepchnął na boczny plan i przechytrzył

Obamę zarówno w czasie sesji zdjęciowych na międzynarodowych spotkaniach, jak i w sprawie roli Kuby w hemisferze, gdzie stanowisko Obamy pozostaje zarówno niezmiennie, jak i nieskuteczne.

Dla tych wszystkich zaniepokojonych rosyjską agresją, jak np. w Gruzji, odpowiedź Obamy „ponad światem” (w sierpniu 2008 roku wezwał on obydwie strony konfliktu do „opanowania”) nie przynosi ukojenia. Europa powinna zwrócić uwagę, jak wciąż czyni to Japonia, na znużenie Obamy w obliczu takich zniewag, jak apel Chin o zastąpienie dolara – światowej waluty rezerwowej, pomysł o którym sekretarz skarbu Timothy Geithner przypadkowo powiedział, że jest godny uwagi, co spotkało się z ostrą reakcją jego urzędników. Oczywiście jeśli jesteś Obamą, a nie Bushem, masz wystarczająco dużo czasu i energii, żeby poradzić sobie z tymi kwestiami w odpowiedni sposób, szczególnie jeśli bezustannie wierzysz w swoją własną siłę perswazji – cechę, którą posiadał Woodrow Wilson, Neville Chamberlain i inni stojący „ponad światem” przywódcy.

I na koniec. Ten esej w niewielkim stopniu poruszył tylko temat ONZ i jego roli w panteonie Obamy, ale takie było zamierzenie. ONZ odgrywa nieznaczącą rolę w dzisiejszej polityce zagranicznej Obamy, chociaż z samym Obamą wykracza dokładnie „ponad świat”. Częściowo dzieje się tak, ponieważ ONZ działa na

prawnym poziomie, to znaczy ani dobrze, ani skutecznie. W sprawie Korei Północnej Rada Bezpieczeństwa kilka razy otwarcie poniosła klęskę w stosunku do tego, czego pragnął Obama, który przynajmniej powinien być głęboko rozczarowany. Równym rozczarowaniem powinien okazać się bezowocny wysiłek Obamy, aby naprawić w Genewie błędy II konferencji „przeciwko rasizmowi” w Durbanie, która okazała się pełnym nienawiści antyizraelskim i antyamerykańskim pogromem, przewidzianym przez wielu.

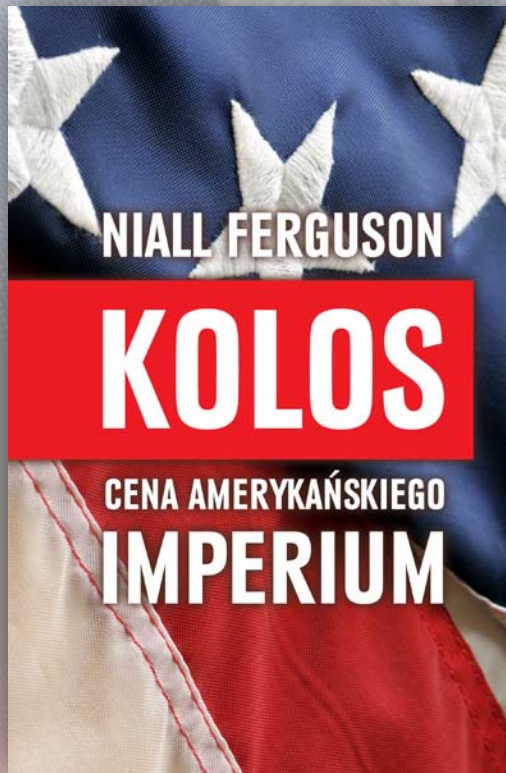
Ale długotrwałe rozczarowanie jest mało prawdopodobne, odkąd Obama za bardzo zaangażował się teologicznie w multilateralizm tryumfujący nad unilateralem, kowbojskim podejściem administracji Busha. Jeśli istniałaby jedna tylko kwestia, której rozwoju oczekiwałyby w przyszłości administracja Obamy, to z pewnością byłby to multilateralizm i ONZ, zarówno w kategoriach politycznych, jak i w międzynarodowej „normalizacji” polityki, słusznie uważanej przedtem za wewnętrzną, takiej jak kontrola broni, kara śmierci, aborcja i wiele innych spraw, zaczynając od zmian klimatu. Europejczycy, tak posłuszni w pozbawianiu jednej po drugiej kompetencji swoich demokratycznie wybranych rządów i odesłaniu ich do Brukseli, znajdą wkrótce pokrewne dusze ciężko pracujące w Waszyngto-

nie nad wypracowaniem czegoś podobnego w stosunku do multilateralnych gremiów.

We wszystkich tych powyższych sprawach Obama postępuje powszechnie zgodnie ze swoją wizją świata i bardzo podobna perspektywa powinna głęboko niepokoić globalnych sojuszników Ameryki. Konceptualistyczna mapa drogi, przynajmniej aż do 2012 roku, jest teraz wyraźnie widoczna, nawet gdyby

niezupełnie zdawano sobie z tego sprawę. Obama po prostu nie dostrzega siły Ameryki jako szczególnego atutu czy jej celów i interesów, jak również wielu innych celów i interesów w rywalizującym świecie, gdzieś pomiędzy Albanią i Zimbabwe. Długo po tym, jak skończy się Obamomania, geostrategiczne konsekwencje tej lekkomyślności będą dotkliwie odczuwane. Oczywiście wtedy może już być za późno.

**JUŻ W MARCU NAKŁADEM
SPRAW POLITYCZNYCH
UKAŻE SIĘ KOLEJNA KSIĄZKA
NIALLA FERGUSONA**



NIALL FERGUSON
KOLOS
CENA AMERYKAŃSKIEGO
IMPERIUM